

Moje lata pracy w GUM

Powojenne losy przesiedleńcze z kresów południowo-wschodnich zaprowadziły moją rodzinę do Bytomia, gdzie się osiedliliśmy. W mieście tym po Powstaniu Warszawskim zebrła się duża grupa byłych pracowników Głównego Urzędu Miar, a ponadto znaleźli się tam przesiedleńcy ze Lwowa pracownicy tamtejszego Okręgowego Urzędu Miar. To niewątpliwie wpłynęło na wybór Bytomia na tymczasową siedzibę GUM. Znaczenie też miała zapewne łatwość uzyskania mieszkań, co w Warszawie – ze względu na zniszczenia – było w ogóle niemożliwe. Dyrektor Zdzisław Rauszer wystosował apel, aby wszyscy byli pracownicy GUM zgłaszali się na swoje dawne stanowiska.



Ilustr. 1. Wyrwa w elewacji budynku GUM spowodowana wybuchem bomby

W Warszawie sytuacja była bardzo zła. Gmach Urzędu został częściowo zniszczony we wrześniu 1939 r., a następnie w czasie Powstania. Największe jednak szkody spowodowało planowe niszczenie za pomocą miotaczy płomieni przez specjalne oddziały niemieckie. Skutek był fatalny – drewniane podłogi powodowały łatwe przenoszenie ognia między pomieszczeniami.



Ilustr. 2. Wypalone stropy w budynku GUM



Ilustr. 3. Zdevastowane przez niemieckie wojska wnętrze jednej z części siedziby GUM, tzw. budynku G

Zniszczeniu uległy prawie wszystkie stanowiska pomiarowe (Ilustr. 4).

Na Śląsku oprócz dyrektora Rauszera przebywał po Powstaniu naczelnik okręgu katowickiego – Stanisław Dawidowicz. W 1945 r. obaj rozpoczęli poszukiwania zastępczej siedziby dla GUM. Wybór padł na Bytom, gdyż – oprócz wspomnianych wyżej sprzyjających okoliczności – był tu duży lokal, niezniszczony, dwukondygnacyjny, doskonale nadający się na biura. Ponadto w znajdującej się obok oficynie można było ulokować warsztaty i garaż, a w budynku głównym było miejsce na pokoje gościnne. Dodatkowo: poniemiecki, dobrze wyposażony lokalny urząd miar znajdował się niedaleko, przy ulicy Dworcowej.

W Bytomiu nie było laboratoriów. Większość pomieszczeń zajmowały stanowiska biurowe i księgowość. Ale było tam moje stanowisko pracy i znalazły tam miejsce także dwie moje wagi.

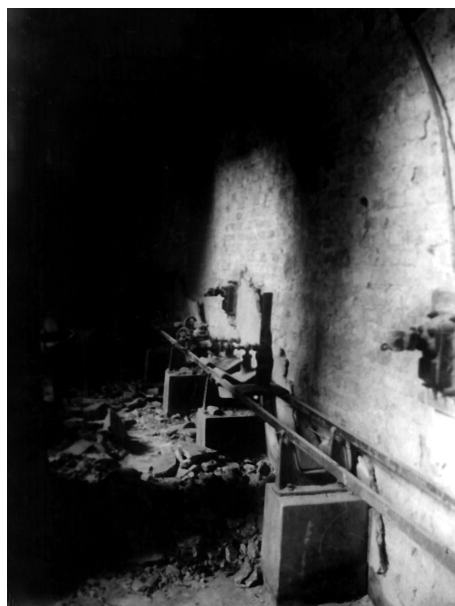
W Głównym Urzędzie Miar w Bytomiu przy ul. Dworcowej pracownikiem kadr był wtedy Andrzej Janiszek, przedwojenny pracownik administracji miar. W czasie wojny był więźniem Majdanka. Po wojnie początkowo nadzorował odbudowę, a później, po latach był kustoszem naszych zbiorów historycznych.

W nowej siedzibie urzędu, jak wspomniałem wyżej, zostałem zaangażowany do pomiarów masy. Przełożonym moim był inż. Antoni Richter – kierownik wydziału masy, przedwojenny pracownik GUM. Pracowałem wtedy w jednym pokoju razem z Janem Sielskim, starszym panem, który jeszcze w Petersburgu był „podręcznym” mechanikiem Dymitra Mendelejewa (wielkiego chemika i metrologa). Wtedy w Bytomiu Jan Sielski remontował wrak wózka do sprawdzania taksometrów. Do pomocy miał ucznia – Edwarda Kapuściaka. Po zakończeniu remontu wózka pan Jan wykonywał z wydobytych z gruzów 1-metrowych przymiarów mosiężnych, tak zwane odważniki uchybieniowe (Ilustr. 6), niezbędne przy sprawdzaniu odważników handlowych przez terenowe urzędy miar.

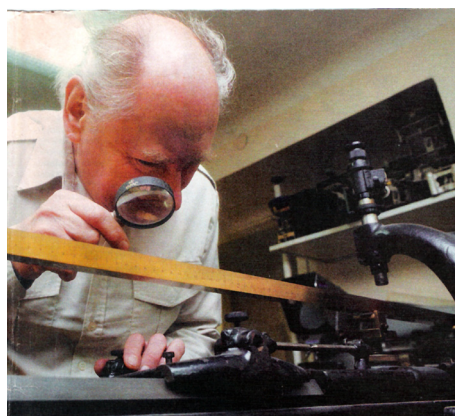
Ja miałem te odważniki sprawdzać. Stało się to powodem konfliktu między nami; okazało się bowiem, że niektóre z tych odważników na skutek wad były za lekkie i musiałem je odrzucić. Zdaniem panów Sielskich – pana Jana i jego syna, inż. Wiktora Sielskiego – była to moja wina, bo źle sprawdzałem. Kiedy próbowałem wyjaśnić panu Wiktorowi, gdzie leży prawdziwa przyczyna, usłyszałem: – Pan nie będzie nas uczył!

Potem okazało się, że to ja miałem rację, ale gdy syn powiadomił o tym ojca, usłyszałem podobną odpowiedź: – Ty, Wiktor, *mienia* nie uczył!

Pogodził nas inż. Richter i wszystko wróciło do normy.



Ilustr. 4. Zdeastowany w wyniku akcji niszczeniowej okupanta 50-metrowy komparator geodezyjny



Ilustr. 5. Autor przy kontroli przydatności 1 m przymiaru mosiężnego. Takie przymiary wydobyte z gruzów posłużyły jako materiał na odważniki

Naleciałości rosyjskie w polszczyźnie pana Jana były skutkiem tego, że prawie całe życie spędził on w Petersburgu (rodzina Sielskich – ojciec, syn i córka – przybyła do Polski w okresie międzywojennym). Nie mógł się pozbyć nawyków językowych i często powtarzał: „u nas w Pietierburgie”. Kiedy posyłał Kapuściaka do sklepu po wędliny, mówił: „Edziu, idź i kupi mi 10 dkg kielbaski szynkowej”.

Pan Jan często opowiadał swoje sympatyczne przygody, dzięki czemu poznałem Petersburg i Instytut WNIIM, choć okazja, żeby je odwiedzić nadarzyła się dużo później.

Syn pana Jana, Wiktor, przychodził do nas często i przynosił wiadomości o stanie odbudowy gmachu GUM w Warszawie. Prowadził on wykłady w Technikum w Bytomiu i kierował warsztatami precyzyjnymi GUM produkującymi aktualne stemple roczne i urzędowe, pilnie potrzebne do normalnej działalności terenowych urzędów miar. Oprócz tego w warsztatach naprawiano wydobyte z gruzów przyrządy. O fachowości inż. Sielskiego świadczy to, że został on delegowany na pewien okres w charakterze eksperta do Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, gdzie produkowano sprzęt lotniczy.

Do pracy w urzędzie przychodziłem w południe. Nie znaczy to, że nie miałem nic do roboty. Musiałem sprawdzać odważniki i rozwiązywać zadania z fizyki i matematyki, które były przez inż. Richtera regularnie zadawane i sprawdzane. Oprócz tego byłem intensywnie szkolony. Wkrótce mój los – rozwiązywanie zadań i szkolenia – podzielili nowi koledzy: Janusz Jankowski (obecnie emerytowany profesor Politechniki Warszawskiej, wieloletni pracownik GUM), Tadeusz Maczubski (później magister fizyki i wieloletni pracownik GUM, niestety, dziś już nieżyjący) i Zdzisław Masnyk (później magister prawa i wieloletni pracownik nadzoru legalizacyjnego w GUM, też już nieżyjący).

Jestem bardzo wdzięczny swojemu szefowi, ponieważ dzięki wprawie w rozwiązywaniu zadań zdałem egzamin wstępny na Politechnikę Śląską z lokatą w pierwszej dziesiątce i lżej mi było na studiach. Dziękuję Ci, Szefie!

Opisany wyżej okres w pracy był chyba dla mnie najsympatyczniejszy. Było nas – młodych pracowników – wielu, a kierownictwo dbało o narybek. Często organizowano różne imprezy, zabawy, wycieczki do Wisły i Szczyrku. Po 1947 r. doszły zajęcia w postaci prasówek, manifestacji i innych socjalistycznych atrakcji. Partia zaczęła kontrolować i snuć intrygi – tym bardziej dokuczliwe, im bliższy stawał się czas przenosin do Warszawy (intrygi i „rozrób” było co niemiara, a sporą w nich rolę odegrał niejaki tow. Szczygieł, od którego zależała decyzja przeniesienia). Przed przeniesieniem pojechaliśmy – takie to były czasy – na „akcję żniwną” do PGR Labendy, z której to akcji mamy pamiątkowe zdjęcie całej bytomskiej załogi (Ilustr. 7).



Ilustr. 6. Tak wyglądały odważniki uchybieniowe



Ilustr. 7 „Bytomska” załoga GUM

Warto napisać parę słów o załodze. Zespół zebrał się z różnych stron Polski, w dużej części z Warszawy. Ze Śląska pochodził głównie personel pomocniczy, z czasem dołączyły do nas osoby ze Lwowa i Kresów Wschodnich. Z Rzeszowszczyzny pochodziły rodziny Jantasów (cztery osoby) i Szumilasów (trzy osoby). Cały zespół pracowników był bardzo zgodny, nawet przy rozdziale paczek żywnościowych z Ameryki, pochodzących z akcji pomocowej UNRRA.

Opowiem o samochodach, które przewiozły nas do Warszawy. Mieliśmy dwa samochody osobowe: chevroleta (tak zwaną demokratkę – te samochody były na ogół przeznaczone głównie dla ministrów) i starego opelka (z kierowcą Ślązakiem, panem Bogackim, który chwalił się tym, że przez „pięć dwadzieścia” lat był kierowcą autobusowym w Berlinie). Oprócz tego były dwa samochody ciężarowe z demobilu, które ciągle kursowały między Bytomiem a Warszawą. Ostatni kurs odbył się jesienią 1949 r. Był trudny i trochę smętny z powodu licznych awarii oraz częstych kontroli milicyjnych – w tym czasie nie można było bez zezwolenia wywozić ze Śląska mebli ani innego drobnego sprzętu. Na szczęście w końcu dojechaliśmy do celu i rozpoczęliśmy nowy etap w trudnych warunkach zrujnowanego miasta.



Ilustr. 8. Prace przy odbudowie gmachu GUM

Do gmachu GUM wchodziło się wtedy nadal po pochylni od ul. Elektoralnej. Tak było przez jeszcze kilka miesięcy, ponieważ główne wejście było zniszczone i wciąż zavalone gruzem.

Panny w Warszawie przyjęły nas serdecznie i zaczęły się – jak to ujął jeden z kolegów – ballady i romanse, no i tańce w stołówce urzędu przy muzyce Glenna Millera z płyt. Tańczyliśmy wtedy swinga i boogie woogie. Poza tym cieszyliśmy się gościnnymi występami barytona, który podkochiwał się w naszej koleżance. Na co dzień studiował on architekturę i oprócz tego śpiewał w Teatrze Syrena na Litewskiej.

Przed kilku laty spotkałem naszego solistę w kurorcie w Krynicy Górskiej – przestawił się na malarstwo. Jeśli ktoś z Państwa go spotka, to proszę zrobić dobry uczynek i kupić któryś z jego obrazów – są naprawdę ładne.

Na Placu Bankowym popołudniami graliśmy w piłkę razem ze „studentami” szkoły im. Duracza (w tej szkole „produkowano” komunistycznych prokuratorów). W świetlicy Urzędu grywaliliśmy w ping-ponga. Świetlicę – niestety – po paru latach zlikwidowano i przeznaczono na Urząd Probieńczy.

W Warszawie wszystko dla nas było nowe. Miasto i stosunki – plotkarskie. Pokoje odnowione kontrastowały z pokojami zdemolowanymi, było jednak widać, że praca wre. W korytarzach stały skrzynie z nową aparaturą.

Dyrektor Rauszer zajął się wdowami i sierotami po poległych pracownikach, zapewnił im pracę i mieszkania.

Zabawną historię opisano w „Życiu Warszawy”. Dziennikarz spotkał w Ogrodzie Saskim naszą woźną, która wróżyła z kart i biadoliła, że jako nauczycielka francuskiego (!) nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie i w ten sposób musi zarabiać na życie. Podała nawet swoje nazwisko. „Takie to czasy” – skwitował dziennikarz.

W 1949 r. moim nowym szefem został mgr Tadeusz Zamłyński, rozpocząłem też drugi rok studiów (przeniósłem się na Politechnikę Warszawską). Inż. Richter zajmował się teraz pomiarami siły, co wpłynęło na mój wybór specjalizacji zawodowej. Kapuściak już nie robił zakupów – zajęła się tym pani Bagińska, wdowa po woźnym poległym w czasie Powstania.

W Warszawie panowały inne zwyczaje biurowe niż w Bytomiu. Notatkę służbową nazywano tu „przypomnieniem służbowym”, a w korespondencji wewnętrznej używano skrótów nazwisk – moim skrótem było „mk”. (Więcej szczegółów Czytelnik znajdzie w interesującej książce dr. A. Barańskiego „GUM przy ulicy Elektoralnej”).

Moimi autorytetami w sprawach metrologii byli dr Jan Obalski, później profesor Politechniki Warszawskiej i prof. Józef Roliński. Przyjacielem i moim nauczycielem był Andrzej Janiszek. Później przez wiele lat blisko współpracowałem z mgr. (później dr.) Andrzejem Gizmajerem.



Ilustr. 9. Żona autora w bibliotece GUM

W latach 50. kończono odbudowę gmachu GUM, którą początkowo nadzorował dyrektor Rauszer. Wkrótce potem nadszedł okres uruchomienia laboratoriów. Pierwsze w naszym zakładzie zaczęło działać laboratorium pomiarów masy, które otrzymało nowe wagi angielskie. Uruchomiono też stołówkę (w późniejszych latach w pomieszczeniu tym znalazła się pracownia konstrukcyjna), a kierowniczką stołówki została działaczka związkowa. Śmietana była wlewa-

na do kotła w obecności dyżurnego przedstawiciela załogi, ale i tak zupka była lurowata – takie to były biedne czasy.

W tym czasie moja żona Halina pracowała w bibliotece technicznej GUM (Ilustr. 9), którą od nowa zagospodarowała i uporządkowała.

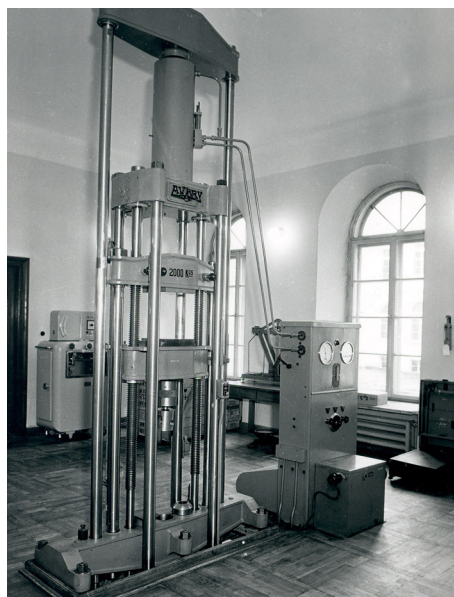
Rozmieszczanie laboratoriów było utrudnione, bowiem część gmachu zajęły mieszkania, a wschodnia część budynku mieściła Główny Urząd Pomiarów Kraju. W części budynku znajdowały się pokoje gościnne, w których mieszkaliśmy przez kilka lat (kolejno na różnych piętrach).

Adaptację pomieszczeń i montaż urządzeń powierzono w roku 1950 Towarzystwu Miczurinowskiemu¹⁾, któremu patronowała Zofia Rokossowska, żona marszałka Konstantego Rokossowskiego.

Na ogół każdy zakład czy większe laboratorium miały na swoim etacie mechanika (tzw. złotą rączkę) do napraw i konserwacji sprzętu pomiarowego, a także do wykonywania prac pomiarowych. Mechanicy ci byli w pełni wykorzystywanymi i bardzo cennymi pracownikami. Pan Łopatowski w zakładzie I wykonywał siatki dyfrakcyjne: 700 linii na 1 mm, a pan Leon Jaroszczyk – optykę do interferometrów, a później także do laserów. Ja też miałem w swoim laboratorium „złotego” pracownika – pana Tadeusza Papisa, który początkowo pracował jako murarz przy odbudowie, a po jej zakończeniu pozostał w GUM na wiele lat, aż do śmierci. Był bardzo cennym i zdolnym pracownikiem, opanował tajniki metrologii praktycznej. Wszyscy go lubiliśmy i ceniliśmy. Cześć Jego pamięci!

Nie wymieniłem wszystkich naszych „złotych rączek”, ale bez nich nie udało się uruchomić w tak krótkim czasie wielu zrujnowanych pracowni.

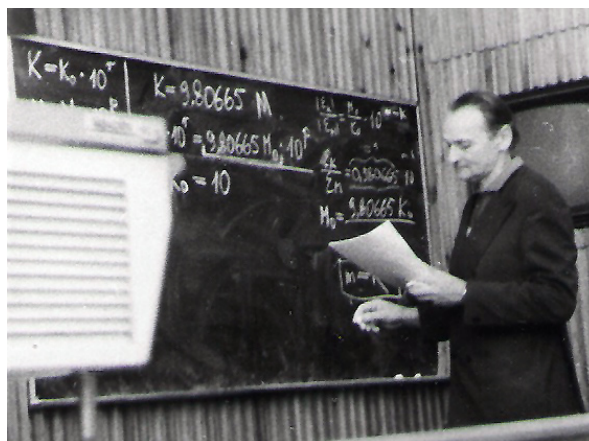
Mnie przypadło bardzo trudne zadanie uruchomienia wzorca siły 50 ton (!) (0,5 MN)²⁾. Nikt nie chciał się podjąć tej trudnej i niebezpiecznej pracy, zajęli się tym dopiero miczurinowcy pod moim nadzorem.



Ilustr. 10. Maszyna obciążnikowa 0,5 MN. Obciążniki są niewidoczne, ponieważ zasłania je podłoga

¹⁾ Miczurin – radziecki biolog genetyk, w Polsce lansowany przez władze. Dla rozpowszechniania jego błędnej teorii krzyżowania gatunków powstało Towarzystwo Miczurinowskie mające na celu zdobywanie funduszy przez działalność usługowo-gospodarczą i propagandową. ‘Miczurinowcy’ podjęli się prac montażowo-budowlanych w GUM, jednak wykonawcami byli nasi pracownicy zatrudniani poza godzinami pracy i wynagradzani z pieniędzy GUM za pośrednictwem miczurinowców, którzy pobierali solidny narzut. W tym czasie nie było przedsiębiorstwa, które podjęłoby się takich prac, a bezpośrednio nie można było ich zlecić naszym pracownikom – nie pozwalały na to przepisy. Takie były paradoksy socjalizmu, ale praca została wykonana zarówno ku zadowoleniu pracowników GUM, którzy zarobili trochę pieniędzy, jak i dyrekcji, bo wszystko było zgodne z przepisami.

²⁾ Wzorzec siły był sprowadzony z Anglii i miał dokumentację sporządzoną według norm brytyjskich. Do przerobienia dokumentacji wg PN inż. Richter zatrudnił doświadczonego konstruktora na pół etatu. Nazywaliśmy go „kokietką”. Konstruktor ten, wchodząc do pokoju, pozdrawiał nas słowami „*stawa gierojam*” i pytał, czy możemy mu pożyczyć 20 zł na kilka dni; chodził tak po kilku pokojach. Po tygodniu wędrowka powtarzała się. Nie można było zwolnić go z pracy, bo stracilibyśmy kooperantów, co uniemożliwiłoby montaż maszyny i spowodowało duże straty materialne. Kokietka miał rozległe znajomości – wtedy wszystko się załatwiało w ten sposób. On zorganizował nam urządzenia dźwigowe, działające zresztą do dziś. Kiedy dla pracowni potrzebne było odlanie pięćdziesięciu żeliwnych obciążników, a o wszystko trzeba było walczyć, Kokietka sprawnie to załatwił.



Ilustr. 11. Dr Andrzej Gizmajer w czasie wykładu

Ilustr. 12. Autor przy sprawdzaniu wzorców twardości. Obecnie wzorce sprawdza się na laserowym stanowisku z interferometrem laserowym, zbudowanym przez Politechnikę Warszawską

Także trudnym zadaniem było uruchomienie po kilkunastu latach stanowiska do 3 MN (300 ton). Efekt tych prac można zobaczyć jeszcze dziś – oba stanowiska wciąż działają.

Warsztaty GUM wykonywały przyrządy naukowe, m.in. na ekspedycje polarne, oraz wiele sprzętu dla potrzeb innych laboratoriów. (W czasie okupacji większość pracowników warsztatów była w konspiracji – tu wykonywano niektóre elementy do powstańczego pistoletu „Błyskawica”, m.in. o tym także pisze w swojej książce dr A. Barański).

Potem nastąpiły czasy „realnego socjalizmu”, ale o tym nie warto już wiele pisać. W latach 50. podlegaliśmy pod PKPG (Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego, zwana „mincówką” od nazwiska prezesa Hilarego Minca), skąd po likwidacji tej instytucji otrzymywaliśmy w spadku zdegradowanych urzędasów. Wymyślili oni, aby przy GUM stworzyć zakład produkcyjny – tak zwane Warszawskie Zakłady Aparatury Laboratoryjno-Pomiarowej, czyli WZALIP. Zapleczem konstrukcyjnym miał być nowy zakład w GUM (tak zwany ZALN), oczywiście składający się z pracowników GUM i zajmujący nasze pomieszczenia. Wywołało to nowy bałagan i zdekompletowanie laboratoriów. Dopiero październik 1956 r. spowodował oczyszczenie atmosfery.

W 1954 r. ukończyłem studia na Politechnice Warszawskiej. W GUM zostałem kierownikiem Laboratorium Pomiarów Siły i Twardości, następnie odbyłem staż w DAMG (Niemiecki Urząd Miar) w Berlinie. Laboratorium Siły od roku 1975 prowadził mgr Andrzej Gizmajer (piszący pracę doktorską), a ja zająłem się głównie wzorcami twardości dla potrzeb przemysłu. Nasza współpraca układała się dobrze, w tym czasie zaprojektowaliśmy i wykonaliśmy tensometryczne przetworniki siły wysokiej dokładności umożliwiające przeprowadzenie międzynarodowych pomiarów wzorców siły.

I tak, nie nudząc się – w latach 60. i 90. przeżyliśmy parę zmian nazw naszej instytucji – doczekaliśmy się powrotu Głównego Urzędu Miar. W międzyczasie zajmowaliśmy się jeszcze wdrożeniem układu jednostek SI. Głównym reżyserem tego przedsięwzięcia był niezapomniany Jerzy Wojciech Szamotulski (prywatnie działacz automobilklubu, służbowo kierownik laboratorium manometrii i doradca prezesa w sprawie wdrożenia jednostek SI). Musieliśmy zrealizować przejście z jednostki siły kG na jednostkę niuton (N), co było związane z przewzorcowaniem kilku tysięcy siłomierzy.

Na ogół panuje przekonanie, że praca w GUM jest lekka i bezstresowa. Dlaczego więc tylu naszych kolegów choruje na nerwice i serce lub odchodzi w sposób nagły? Często zastanawiam



Ilustr. 13. Wycieczka licealistów w GUM

się, co jest takiego w tej pracy, że ludzie mimo niskich płac pracują tu ofiarnie po kilkadziesiąt lat. Myślę, że po prostu jest im żal porzucić stanowiska pomiarowe, które zbudowali z tak wielkim trudem i zaangażowaniem. Takie samo oddanie zaobserwowałem zresztą i w zagranicznych instytucjach metrologicznych.

Z pewnością mogę stwierdzić, że nie zmarnowałem życia, pracując w GUM. Napisałem cztery książki techniczne, ponad 50 artykułów do prasy technicznej i naukowej, uczestniczyłem w sympozjach krajowych i zagranicznych, na których wygłaszałem referaty. Poznałem wielu interesujących ludzi i zwiedziłem wiele instytucji metrologicznych w różnych krajach. Dużą satysfakcją dawało mi oprowadzanie wycieczek po zbiorach historycznych, które prowadziłem po przejściu na emeryturę.

Na Ilustr. 13 widzimy grupę licealistów z sąsiadującej z GUM szkoły, oczekującej na pana Janiszka, który po przejściu na emeryturę opiekował się naszymi zbiorami historycznymi. W następnych latach zastąpiła Go moja żona Halina, a później zbiorami zajmowałem się ja.

Pan Andrzej Janiszek był wielce zasłużonym żołnierzem i pułkownikiem AK. W uznaniu Jego zasług, sam – jako akowiec – traktowałem Go jak żołnierz oficera czynnej służby. Był dla mnie jak ojciec. Jego syn, będąc w moim wieku, zginął tragicznie. Czołem, Panie Pułkowniku!

Przy pożegnaniu pana Janiszka, gdy odchodził już ostatecznie na emeryturę, obiecałem Mu, że będę się opiekował zbiorami. Niestety, nie cały czas było mi to dane, ale zapewniam, Panie Pułkowniku, że jest wszystko w porządku – zbiory otrzymały nowe gabloty i są porządkowane.

Wraz z zespołem naszego laboratorium odwaliłmy kawał dobrej roboty. Pozostało jeszcze wiele do zrobienia, ale *ars longa, vita brevis*. Zostawiamy to młodym.



Ilustr. 14. Andrzej Janiszek, zasłużony pracownik GUM i wybitna postać w historii polskiej metrologii



Ilustr. 15. Autor przed przejściem na emeryturę

Po „wielkiej burzy” w GUM w październiku 1956 r., w latach 1966–1990 przysły do urzędu: jakość, normalizacja i inne niespodzianki. (Napiszę o tym kiedyś, jeśli zdrowie pozwoli). A my?... Posłuchaliśmy Młynarskiego i nadal robiliśmy swoje. Twardy to naród, ci gumowcy.

Na koniec opowiem o ostatnim spotkaniu z dyrektorem Rauszerem.

Zdzisław Erazm Rauszer był organizatorem polskiej administracji miar i pierwszym dyrektorem Głównego Urzędu Miar. W lutym 1948 roku w Bytomiu odbył się ostatni (przed powrotem do Warszawy) bal i ostatni jubileusz z dyrektorem Rauszerem. Tak, to był bal z orkiestrą z tańcami, bal smutny i sentymentalny. Wiedzieliśmy, że ukochany dyrektor musi odejść – obecni byli wszyscy naczelnicy okręgów i wydziałów GUM. Rauszer pokazał klasę do końca, pożegnanie było bardzo eleganckie.

To, co piszę, może wydawać się nieskładne, ale nie jest to ani pamiętnik, ani dziennik z tamtych lat. Spisałem swoje wspomnienia po wielu latach, w takiej kolejności, w jakiej podsuwała mi je pamięć, dlatego zdarzenia nie zawsze występują w nich chronologicznie. Pozostało do opisania jeszcze wiele historii, które, jak Bóg da zdrowie, jeszcze kiedyś opiszę.

Podziękowanie

Serdecznie dziękuję dr. Jerzemu Borzymińskiemu za wszelkie sugestie i uwagi odnoszące się do niniejszego skromnego opracowania. Dziękuję również mojej wnuczce Kaji za korektę oraz wszystkim osobom, które przyczyniły się do wydania niniejszych wspomnień.

mgr inż. Jerzy Mikoszewski
emerytowany dyrektor Zakładu Metrologii Ogólnej